



BARTEK
BIEDRZYCKI

ZIMNE
ŚWIATŁO
GWIAZD

ŚWIATY WIZJONERÓW

ZIMNE
ŚWIATŁO
GWIAZD



BARTEK
BIEDRZYCKI

ZIMNE
ŚWIATŁO
GWIAZD

WYDAWNICTWO
IX
Kraków 2020

Tytuł: *Zimne światło gwiazd*

Autor: Bartek Biedrzycki

Copyright © 2020 by Bartek Biedrzycki

Copyright for the cover art

© Bill Ingalls & Krzysztof Biliński

All rights reserved.

Wydawca: Krzysztof Biliński, Wydawnictwo IX

Redakcja: Michał Cetnarowski

Korekta: Krzysztof Biliński

Projekt, skład, łamanie i przygotowanie do druku:

Krzysztof Biliński

Ilustracja na okładce:

Krzysztof Biliński na podstawie fotografii Billa Ingallsa

Ilustracje w książce: Robert Adler

Schematy stacji Europa i Ałmaz na podstawie *Mir Hardware Heritage*

Ilustracje do artykułu *Tłok na gwiazdnych szlakach* Bartek Biedrzycki

Tekstura imitująca stary papier: Designed by xamtiw / Freepik

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być w jakikolwiek sposób powielana bez zgody wydawcy, z wyjątkiem krótkich fragmentów użytych na potrzeby recenzji oraz artykułów.

Wydawnictwo IX

biuro@wydawnictwoix.pl

wydawnictwoix.pl

Kraków 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-958615-5-0 (oprawa miękka)

ISBN 978-83-958615-4-3 (oprawa twarda)

SPIS TREŚCI

| | |
|--|-----|
| Raum Kuriosität | 7 |
| Zdobycy kosmosu rozpoczęli naukę w Szkole Pilotów | 43 |
| Misja na Czerwoną Planetę | 47 |
| Udany start pierwszej misji | 59 |
| Czarny i biało-czerwony | 63 |
| Serca w rozterce | 101 |
| Poślanie dla świata | 103 |
| Lot pułkownika | 105 |
| Tłok na gwiazdnych szlakach | 149 |
| Jeszcze chwilę pożyć | 167 |
| Notatka służbowa dot. informacji | 205 |
| Charakterystyka pierwszej Międzynarodowej Stacji Kosmicznej Europa | 209 |
| Połowa nieba | 215 |
| Przez Karaiby do gwiazd! | 297 |

| | |
|---|-----|
| Lód | 299 |
| Udana naprawa na orbicie | 315 |
| Chronologia wysyłania stacji kosmicznych na orbitę | 317 |
| Spis pojazdów kosmicznych | 320 |
| Od autora | 323 |

Raum Kuriosität

*Kerzengrad steig ich zum Himmel, flieg' ich zur Sonn' direkt.
Unter mir auf das Gewimmel, da pfeif' ich mit Respekt.
Hermann Dostal, Fliegermarsch*

III Rzesza Niemiecka, 1940

Loskot silnika narastał, w miarę jak 163D przyspieszał na pasie. Poderwał się sprawnie i uniósł w powietrze, a potem zatoczył lekki łuk i skierował się na wschód, prosto w słońce, które właśnie wychynęło ponad krawędź horyzontu. Huk wzmógł się, a następnie dała się słyszeć jakby eksplozja, przytłumiona już odległością, gdy Komet przełamał barierę dźwięku.

Thomas opuścił dłoń, którą osłaniał oczy od światła, i zeskoczył z metalowych schodków prowadzących na wieżę kontroli lotów wprost na beton pola startowego. Przystanął tam na moment, przerywając poranny bieg, żeby popatrzeć na start. Zerknął na zegarek – dochodziło za dziesięć siódma. Było chłodno, ledwo co zaczął się

marzec, pasy startowe pokrywała delikatna warstewka wilgoci, a lekka mgła unosiła się nad betonem i nad otaczającymi lotnisko łąkami.

Poprawił grzywę płowych włosów i lekki truchtem skierował się ku kwaterom oficerskim. Miał dzisiaj dzień bez służby, ale niemiecki żołnierz jest na służbie cały czas, to bez znaczenia, czy znajduje się w koszarach, czy w kabinie eksperymentalnego odrzutowego myśliwca. Pilotów dotyczyło to tym bardziej – żyli w biegu, w wiecznym alercie, w każdej chwili gotowi, by zasiąść za sterami swoich wspaniałych maszyn i wzlecieć w niebo, gdy Heimat ich wezwie.

Kiedy biegł przez pole startowe, żołnierze prężyli się i salutowali mu, chociaż nie miał na sobie munduru. Jednak wszyscy w Peenemünde znali młodego oficera, bohatera Frontu Zachodniego, obsypanego wyróżnieniami absolwenta Luftkriegsschule Klotzsche*, dokąd trafił prosto z szeregów Hitlerjugend, gdzie wstąpił się jako sprawny i bezkompromisowy Kameradschaftsführer**. Pilota, który po rozpoczęciu działań wojskowych w ciągu pół roku zestrzelił ponad dwa tuziny samolotów wroga, z czego pierwsze kilkanaście zaliczył w czasie walk we Francji i Belgii, następne nad samą Wielką Brytanią w czasie Bitwy o Londyn, a pozostałe, gdy trafił na Front Wschodni. Teraz, w stopniu majora, odznaczony Krzyżem Żelaznym z Liśćmi Dębu i Mieczami, służył w specjalnej jednostce samolotów odrzutowych w północnych Niemczech, wykonując raczej zadania specjalne zlecane przez dowództwo Heeresversuchsanstalt***, a nie

* Szkoła Luftwaffe w Dreźnie

** Dowódca zastępu w Hitlerjugend (niem.)

*** Wojskowy Instytut Badawczy (niem.)

typowe loty bojowe. Nie raz słyszał, jak za jego plecami mówiono, że odziedziczył talent i pozycję społeczną po ojcu i jego kuzynach, wybitnych asach lotnictwa z czasów Wielkiej Wojny, jednak nie robił nic sobie z tych plotek, uważając bójki między oficerami za niegodne honoru niemieckiego żołnierza. Nie zważał też na krzywdzące opinie, że tylko niesmaczny upór i ambicje jego matki, wdowy po Manfredzie, zestrzelonym gdy Thomas miał zaledwie kilka miesięcy, zapewniły mu dostęp do najlepszych szkół i potrzebnych kontaktów. Lotnik wiedział, że jego imponujący rejestr zestrzeleń mówił sam za siebie.

Przebiegł teraz przez chłodną plamę cienia rzuconego przez wieżę kontroli lotów, zerknął na zegarek i skrzyknął, aby zrobić jeszcze jedno okrążenie pola startowego, kiedy w połowie odległości do bramy zobaczył jakąś postać, dającą mu znaki wymachami rąk. Sprawnie zmienił kierunek i ruszył ku sygnalizującemu pośpiech żołnierzowi. Kiedy do niego dotarł, tamten wyprężył się na baczność i uniośł dłoń w pozdrowieniu.

— *Hail Hitler!* — krzyknął. Oddanie młodego oficera wodzowi, sprawie Partii i Wielkim Niemcom było powszechnie znane. Thomas okrążył adiutanta i zatrzymał się. Naszywki na kołnierzu i rękawie nie pozostawiały wątpliwości, skąd tamten się wziął. — Major Thomas Manfred Freiherr von Richthofen? — upewnił się posłaniec.

Gdy zagadnięty skinął głową, podoficer sięgnął pod połą kurty mundurowej i wyciągnął wąską kopertę, opatrzoną pieczęcią z orłem i swastyką, a także odręcznym podpisem. Adresat bez słowa rozdarł papier, wyciągnął arkusz złożony na troje i szybko przebiegł wzrokiem lakoniczny, lecz treściwy komunikat, wypisany na maszynie i sygnowany przez generała Waltera Dornber-

gera, kierownika Entwicklungswerk Peenemünde-Ost* w Heer, polecający mu niezwłoczne zameldowanie się w ośrodku wojsk lądowych. Nie do niego jednak miał się zgłosić, lecz bezpośrednio do dyrektora technicznego, Sturmbannführera SS, konstruktora odpowiedzialnego za stworzenie rakiet A4, które zrównały z ziemią Paryż i Londyn, przynosząc zwycięstwo Tysiącletniej Rzeszy.

Mimowolnie Thomas von Richthofen zadrżał, a przyczyną tego nie był chłód marcowego poranka.

— Proszę wziąć tylko rzeczy osobiste, majorze — dodał adiutant, widząc, że tamten zapoznał się już z wiadomością. — Nic więcej nie będzie panu potrzebne.

Płowe brwi godnego potomka wielkiego rodu niemieckich lotników uniosły się nieznacznie. Poślaniec drgnął, a kącik jego ust podrygiwał w nerwowym tiku. Major von Richthofen skinął głową.

— Proszę przekazać dyrektorowi, że będę u niego za godzinę — powiedział i ruszył truchtem w kierunku kwater.



Przebranie się w starannie odprasowany mundur i wy-pastowane na błysk oficerki, a także zebranie kilku najważniejszych drobiazgów zajęło mu kwadrans. Stacjonował w bazie Luftwaffe zaledwie kilka tygodni, nie zdążył się tu urządzić bardziej, niż powinien lotnik w koszarach w trakcie wojny — wojny, o czym nie należało zapominać, zacieklej. Wojny, o czym nie należało mówić głośno, która nie szła tak gładko, jak to planowano. Wszelkie tego typu uwagi uznawane były za sianie defetyzmu i naraża-

* Zakłady Doświadczalne Peenemunde-Wschód (niem.)

ły na niespodziewane spotkanie z Gestapo, więc każdy zachowywał dla siebie podobne komentarze. Anschluss Austrii i przyłączenie Sudetenlandu w 1938 roku były tylko wstępem do ekspansji Wielkich Niemiec. Zajęcie Francji jesienią trzydziestego dziewiątego roku – naturalną konsekwencją planów Hitlera dotyczących lebensraum. A pogrom Wielkiej Brytanii i wkroczenie Wehrmachtu na Wyspy, które nastąpiło zaraz potem, najbardziej udaną operacją jesiennego blitzkriegu. Tego się trzymano.

Na froncie wschodnim jednak nie wszystko poszło tak gładko, jak planowano. Najpierw wojska pancerne utknęły w polskim błocie. Było to idiotyczne, ale wielotygodniowe opady sprawiły, że całe to marionetkowe państwo, kaprys Traktatu Wersalskiego, stało się nieprzejezdnym bagniskiem, zatrzymującym obie grupy armii na wiele dni. Dopiero zimą, kiedy mróz skuł ziemię, Grupa Armii Północ przebiła się przez terytorium dzielące Rzeszę od Prus, a następnie ruszyła dalej, przez Litwę w kierunku sowieckiej Rosji. Grupa Armii Południe utknęła na granicy Śląska i dopiero wsparcie z powietrza – w tym działania eksperymentalnych rakietowych Messerschmittów, takich jak pilotowane przez Thomasa i jego kolegów wersje 136 – pozwoliło jej ruszyć na wschód. Niestety, na linii Wisły związały ją walki z Polakami i naprędce przerzuconymi z ZSRR oddziałami Armii Czerwonej – przywódca Sowietów zerwał zawarty przed rozpoczęciem wojny pakt i zdradził swojego dotychczasowego sojusznika, wielkiego niemieckiego wodza i wizjonera Adolfa Hitlera. Czego jednak można się spodziewać po przybłędzie, Untermenschu* z jakiejś brudnej Gruzji?

* Podczłowiek (niem.)

Major Luftwaffe Thomas von Richthofen zbeształ sam siebie za te myśli, kiedy maszerował drogą łączącą ośrodki West i Ost. Mijając posterunki, uniośł ramię w pozdrowieniu, nie niepokojony przez wartowników, którzy na widok jego munduru lotnika i dystynkcji wyprężali się na baczność. Zbeształ się, a potem upomniał, żeby nie poddawać się defetyzmowi – Polaków udało się odepchnąć dość daleko, a zdrada tych bezwartościowych Rosjan po prostu przypieczerowała ich los. Kiedy zostawią za sobą tereny tego wersalskiego bękarta i zajmą szeroko rozciągające się, równinne stopy naddnieprzańskie, a potem dotrą do bogatych w surowce gór Kaukazu, nic nie będzie w stanie powstrzymać panowania Herrenvolk*. Wszystko to były bzdury niegodne niemieckiego żołnierza, zastanawiać się i kwestionować decyzje Führera!

Zatrzymał się na wartowni, wylegitymował i pokazał list od generała Dornbergera. Obergefreiter na służbie obejrzał dokładnie dokumenty, służbiście zasalutował i zwięźle przekazał lotnikowi wskazówki dotarcia do biura dyrektora technicznego. Nie czekając, Thomas ruszył we wskazanym kierunku, rozglądając się po drodze.

Nie miał nigdy dotąd okazji zobaczyć tej części kompleksu – prowadzone tutaj prace należały do wyjątkowo ważnych, przez co były częściowo utajnione. Nawet członkowie eksperymentalnej eskadry Luftwaffe wiedzieli jedynie, że to właśnie tu testowano rakiety Agregat 4, które potem zadały takie straty Francuzom i Anglikom, zmuszając oba państwa do bezwarunkowej kapitulacji. W kantynie i w kasynie oficerskim mówiono także, że widoczne co jakiś czas starty rakiet z pobliskiej wyrzutni to finałowe testy Agregat 10, zwanej Ameri-

* Rasa Panów (niem.)

ka-Rakete, przeznaczonej do zbombardowania Nowego Jorku i całego Wschodniego Wybrzeża USA. Ostrzał miałby się odbyć z terenów Wielkich Niemiec i z okrętów klasy Prüfstand XII. Rzeszy całe te Stany Zjednoczone potrzebne były jak psu buty, lecz emisariusze cesarza Hirohito nalegali na wsparcie ich działań przeciw kapitalistycznemu mocarstwu, z którym toczyli wojnę na Pacyfiku. Mawiano też, że rakieta A10 napędzana była nie paliwem raketowym, lecz ambicją głównego projektanta.

Kiedy dochodził już do zabudowań biura projektowego, gdzie spodziewał się zastać głównego konstruktora, powietrze rozdarł ryk podobny temu, jaki towarzyszył startom raketowych Messerschmittów. Lotnik zadarł głowę i osłoniwszy oczy przed ostrymi promieniami niskiego słońca, spojrzął w niebo, w które wzbijała się właśnie rakieta, ciągnąc za sobą słup ognia i warkocz dymu. Smuga wyglądała niczym pępowina łącząca to dziecko technologii z Ziemią-matką. Łoskot przełamywanej bariery dźwięku rozszedł się nad ośrodkiem, kiedy pocisk zniknął z pola widzenia gdzieś hen na zachodzie.

Jaki był jego dokładny cel – trudno było ustalić, znając tylko orientacyjny kierunek. Rakiety Agregat mogły kierować się do wcześniej zaprogramowanego celu, mogły też być sterowane z użyciem fal radiowych. Istniały rzekomo również takie, którymi mógł kierować pilot, wydawało się to jednak pozbawione sensu, musiałby bowiem zginąć przy uderzeniu. Praktyki takie – poświęcenie pilota czy to samolotu, czy też torpedy podwodnej – zwane *göttlicher Wind*^{*}, stosowane były ponoć przez Japończyków. W opinii von Richthofena dowo-

* Boski wiatr (niem.) – tłumaczenie japońskiego określenia kami kaze.

dziło to jedynie faktu, że ich azjatyccy sprzymierzeńcy sami byli podludźmi, bo czym innym jest bezwarunkowe posłuszeństwo i wiara w słuszość decyzji dowódców, prowadzące do poświęcenia własnego życia, a czym inny zwykłe marnowanie dobrze wyszkolonych żołnierzy do celów, które z powodzeniem można zrealizować w inny sposób.

Dym nad polem startowym rozwiął się już, a rakietą dawno zniknęła z pola widzenia, kiedy przed budynkiem pojawiła się grupa mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie charakterystyczne ciemne mundury, do tego długie płaszcze. Tylko jeden z nich, modnie ufryzowany mężczyzna przed trzydziestką, z uśmiechem na ustach, ubrany był w doskonale skrojony garnitur i ciemny prochowiec. Idąc, przerzucał się żartami z oficerami SS i tłumaczył coś w odpowiedzi na padające co jakiś czas pytania. Kiedy się zbliżyli, dostrzegł lotnika. Przeprosił swoich towarzyszy i pewnym krokiem podszedł do Thomasa, wyciągając dłoń na powitanie, zamiast unieść ją zwyczajowo w hitlerowskim pozdrowieniu.

— *Kamerad* von Richthofen, jak mniemam. Witajcie, jestem Wehrner von Braun — przedstawił się. — Szef tutejszego programu rakiet.

— Wiem, kim pan jest — odparł lotnik. — To zaszczyt poznać wreszcie osobiście jednego z architektów niemieckiego triumfu na zachodzie.

— Proszę nawet o tym nie wspominać, praca na rzecz wysiłku wojennego Niemiec to obowiązek każdego obywatela. Jesteśmy to zresztą winni nie tylko Führerowi, ale zwyczajnie nauce. Trzeba pchać naprzód ten wózek, sięgać dalej, lecieć wyżej, płynąć głębiej; jesteśmy

* Towarzysz (niem.)

to winni nie tylko naszym dowódcom, ale samym sobie, duchowi intelektualnego oświecenia. Co pan na to powie, Thomasie?

Nastąpiła krótka chwila zakłopotania.

— Cóż mam rzec, pan jest projektantem, wizjonerem. Ja jestem pilotem, robię, co mi każą, najlepiej jak mogę.

— Więc nie brak wśród nas nadal dobrych Niemców — ucieszył się esesman, klepiąc oficera po ramieniu. — Stoi za panem wielki ród i wielka historia, a przed panem — historia jeszcze większa. Ale o tym porozmawiamy już na spokojnie w moim biurze. Niechże pan wejdzie i się rozgości, ja zaś dołączę za jakiś kwadrans, kiedy rozmówię się z towarzyszami.

Dyrektor von Braun skinął głową, wskazał ręką drzwi pobliskiego niskiego budynku i zwrócił się znów ku grupie oficerów SS, wracając płynnie do przerwanej przed chwilą rozmowy.

Von Richthofen wszedł, schylając się w progu, do niedużego baraku. Urządzono go skromnie, funkcjonalnie, chociaż nie brakło w nim także wygód. Wielkie biurko z ciemnego orzecha nosiło ślady wielokrotnych transportów — szczególnie ucierpiały zdobienia na nogach. Za biurkiem stało odsunięte proste drewniane krzesło, obok drugie, a na ścianie z tyłu wisiała duża mapa Wielkich Niemiec z naniesionym wzorem sieci transportowej. Wbito w nią małe, różnokolorowe chorągiewki — jedna z nich, czerwona, sterczała z Usedom. Musiała oznaczać ich pozycję. Duga, mniejsza, zakotwiczyła pod Berlinem, chyba w okolicy Kumersdorf. Kolejnych kilka, tym razem żółtych, rozsianych było już po całej mapie, między innymi w Górach Smolnych i w Górach Sowich, a jedna, zielona, starczała gdzieś na terenie Prus Wschodnich.

Prócz tego wyposażenie pracowni uzupełniała wielka czerwona chorągiew ze swastyką i nieco mniejszy portret Adolfa Hitlera, wiszący na ścianie na prawo od wejścia. Pod przeciwną ścianą natomiast od podłogi aż po sufit ciągnęły się metalowe szafy na akta, niektóre oznaczone literowymi i cyfrowymi skrótami, niektóre o gładkich drzwiczkach. Wszystkie były najwyraźniej zamykane na klucz. W rogu pod szafami stał mały stoliczek, a na nim gramofon Odeon Orator z założoną płytą.

Biurko dominowało przestrzeń całego pomieszczenia. Musiało także, ze względu na same swoje rozmiary, służyć często za stół kreślarski — to podejrzenie potwierdzały rozłożone na nim płachty planów, przedstawiające smukłe, wydłużone cielska pocisków raketowych, nad którymi tu pracowano. Lotnik rozpoznał mocno zmieniony kształt A4, dostrzegł także najwyraźniej rozwojowe konstrukcje, opisane jako „A9/A10”, wyglądające, jakby miały działać razem.

Thomas rozejrzał się ponownie, chwilę rozważał zajęcie miejsca na dodatkowym krześle, potem podszedł do paterfonu i z ciekawością przyjrzał się płycie, ale nalepka była zbyt zatarta, by ją odczytać. Nie namyślając się wiele, pogrzebał chwilę przy sprzęcie i uruchomił go. Ramię drgnęło, zaterkotał cicho mechanizm, igła opadła na płytę i po kilku pierwszych trzaskach rozległy się doskonale znane słowa pieśni, tak często granej na oficjalnych uroczystościach.

Chorągiew wznies! Szeregi mocno zwarte!

SA to marsz: spokojny, równy krok.

A rozstrzelani przez komunę i reakcję

Są pośród nas, i dumny jest nasz wzrok.*

* *Die Fahne Hoch* (inaczej *Horst Wessel Lied*) – hymn SturmAbteilung, tłum. Andrzej Lam

Skrzypnęły drzwi i von Braun wszedł do środka.

— Widzę, że się pan rozgościł, kamerad von Richthofen?

— Przepraszam, panie dyrektorze, nie mogłem się powstrzymać. — Thomas sięgnął do adaptera, chcąc go wyłączyć, lecz gospodarz powstrzymał go.

— Proszę się nie krępować, a to zresztą wspomniała pieśń. — Konstruktor podszedł do biurka, przełożył część papierów, jeden z planów złożył pieczołowicie i schował do górnej szafki. — Proponuję także, abyśmy przeszli na ty. Jesteśmy sobie w końcu równi, przynajmniej w hierarchii wojskowej: pan jest majorem czynnej służby, ja Sturmbannführerem. O ile się nie mylę, rocznik 1917?

— Owszem. Urodziłem się w grudniu.

— To musi być trudne, wychowywać się bez ojca, jeśli mogą spytać? — Von Braun usiadł za biurkiem, wysunął szufladę i czegoś w niej szukał. — Szczególnie, że był wielkim człowiekiem, największym pilotem myśliwskich wszechczasów!

— Miałem kochającą matkę, a potem otoczył mnie opieką Adolf Hitler i Heimat — odparł von Richthofen, dumnie unosząc głowę.

— Tak, tak, wszystkim nam pomógł nasz wielki wódz, wizjoner niemieckiego narodu — przyznał gospodarz, stawiając na blacie dwie szklanki z rżniętego kryształu i butelkę z ciemnego szkła z nalepką „Jegermeister”. — To doprawdy wstyd, że taki wielki i dzielny człowiek zginął od strzału w plecy jakiegoś Australijczyka! Wszyscyśmy na tamtej wojnie stracili, moja rodzina musiała opuścić swój dom, kiedy nasze tereny zajęli Polacy. Teraz jednak odbijemy sobie wszystko, co nam zabrała wersalska zdrada.

— To prawda, ojciec był legendą. Ale każdy z nas powinien rzucać własny cień — odparł Thomas.

— Doskonale powiedziane! Manfred miał osiemdziesiąt uznanych zwycięstw w powietrzu. To dużo, ale zważywszy, że Wielka Wojna trwała cztery lata... Pan ma już na koncie chyba ze trzydzieści? — Dyrektor nalał do obu szklanek.

— Nic bardziej mylnego, zaledwie dwadzieścia dziewięć, z czego większość na zachodzie. Tutaj tylko kilka, odkąd mnie przeniesiono. To wszystko przez to, że tkwię na Usedom, zamiast walczyć — w głosie pilota dało się wyczuć lekką gorycz.

— Zaledwie dwadzieścia dziewięć! — odparł kpiarskim tonem esesman. — Za to jakich! Hurricany, Caudrony, Jaki... Oraz ten polski bombowiec, co to było?

— Łoś, panie von Braun. W czasie walk nad Kalischem.

— Łoś, imponujące. Przecież to są wielkie maszyny, a przy tym całkiem uczciwie muszę przyznać, jako inżynier i konstruktor, że naprawdę robią wrażenie. Że też taki naród potrafi tworzyć takie cuda! A więc dwadzieścia dziewięć zestrzeleń — licząc tylko te uznane oficjalnie. I wszystko to w ciągu zaledwie nieco ponad pół roku! Powiedziałbym, że pobije pan ojca na głowę, ale boję się, że nasza obecna wojna nie potrwa tak długo. Już byłoby po wszystkim, gdyby nie te cholerne roztopy w tej cholernej Polsce.

Lotnik skinął głową, zaś gospodarz podsunął mu szklankę i kontynuował:

— Jak mówiłem, jesteście sobie równi w wojsku, jesteście też niemal rówieśnikami, bo co znaczy pięć lat w przypadku dwóch dorosłych mężczyzn, w dodatku już zasłużonych, każdy na swoim polu. A do tego, mimo że

pozwoliłem sobie wezwać cię kanałem oficjalnym, majorze, to nie będzie nas łączyła typowa zależność podwładny-dowódca. Może w takim razie Bruderschaft?

— Niech i tak będzie. Tam, gdzie Niemcy pracują wspólnie dla dobra swojej ojczyzny, tam liczą się efekty, nie konwenanse.

Major wychylił gorzki alkohol na raz, odstawił szklankę i wyciągnął dłoń.

— Thomas.

— Wernher — odparł esesman, odstawiając swoje szkło i po męsku oddając uścisk. Przetarł szklanki wyciągniętą z szuflady chustką, schował wszystko i poprawił się na krześle.

— Wiesz, czym się tu zajmujemy? — zapytał.

— Owszem. Ty i twój zespół projektujecie rakiety bojowe. Międzynarodowe, międzykontynentalne...

— Tak, chociaż te drugie nie weszły jeszcze do masowej produkcji. Widziałeś poranny start? Z pewnością. Zanim tu do ciebie przyszedłem, otrzymałem meldunek, że drugi stopień rakiety spadł do Atlantyku, cztery tysiące kilometrów stąd, zaledwie o pięćset kilometrów od wybrzeża Nowej Fundlandii! Czy wiesz, co to oznacza? — Sturmbannführer pozwolił sobie na ekscytację.

— To oznacza, że nim nastanie lato, Nowy Jork padnie pod niemieckimi bombami — odparł major nie bez pewnej satysfakcji.

— Będziemy panami świata, tak jak to przewidział i zaplanował Führer — przyznał von Braun. — Ale co jest ostatecznym celem techniki raketowej?

— Panowanie nad światem?

— Ach. To cel polityczny. Ja mówię o nauce, o wizji, o przyszłości. Co jest ostateczną granicą ludzkich możliwości? — Konstruktor zmrużył oczy, wpatrując się

intensywnie w młodszego mężczyznę. Tamten nie odpowiadał, wyczuwając retoryczność tego pytania. — Kosmos — odparł z triumfem von Braun. — To jest mój, nasz cel. O tym pisał w swoich wizjonerskich pracach Hermann Oberst.

— To brzmi fantastycznie, jestem pod wrażeniem, ale to chyba, jak się na to mówi? *Wissenschaft Phantastik*? — odparł spokojnie młody von Richthofen. — Oczywiście, wszystko to, co robimy, jest w jakiś sposób fantastyczne, chociaż oparte na nauce. Niemieckie projekty okrętów podwodnych, pocisków, dział, raketowe samoloty, na których mam tutaj okazję latać, to niesamowite osiągnięcia, ale kosmos... To chyba zadanie na czasy pokoju?

— *Unsinn*** — burknął Wernher. — Kosmos jest już praktycznie zdobyty. Rakieta A4 przekroczyła linię Kármána. A dziś rano moja dwustopniowa rakieta A10 pokonała cztery tysiące kilometrów... — Dyrektor w wymownym geście wskazał palcem na sufit. — Cały problem, to teraz dolecieć tam i tam pozostać. Zbudować raketę, która osiągnie prędkość ucieczki i zostanie na orbicie! To tylko kwestia odpowiedniego sprzętu.

— To wszystko imponujące, co mówisz, ale po co mamy to robić? Dominacja z kosmosu? Osiągnęliśmy to już tutaj, na Ziemi, nasze samoloty, pociski, rakiety... Osiągnęliśmy to zresztą przy twoim udziale.

— Wy, wojskowi, jesteście niezwykle praktyczni, jak zawsze. To samo powiedział mi Adolf Hitler, tak, poklepał mnie po plecach i kazał pokazać praktyczne zastosowania, zabawki dla wojowników. Tymczasem gdy opanujemy już całą planetę, co nam pozostanie, jeśli nie kolejne

* Naukowa fantastyka (niem.)

** Bzdury (niem.)

globy...? Czekają na nas Mars, czeka Wenus! W tym celu musimy najpierw umieścić w kosmosie człowieka, potem zbudować mu tam posterunek, gdzie będzie mógł swobodnie mieszkać i pracować, a potem...

Oczy von Brauna na moment zmrużyły się, jakby zasłzyły mgłą, przez którą projektant widział jakieś odległe, przyszłe wydarzenia. Poderwał się z krzesła i oparł o blat biurka.

— Mówię ci, Thomas, że za naszego życia ludzie postawią nogę na Księżycu, i że ja zaprojektuję pojazd, który ich tam zaniesie!

Von Richthofen zachował milczenie. Próbował sobie poukładać w głowie te wizje. Nie wątpił oczywiście w potęgę ludzkiego umysłu ani niemieckiej nauki, zresztą doktor von Braun udowodnił już w praktyce swój konstruktorski geniusz. Jednak kosmos? Lot na Księżyc? To brzmiało jak mrzonki.

— Najpierw musimy umieścić tam człowieka — podjął esesman. — A tym człowiekiem będziesz ty!

Lotnik przerwał dywagacje i skinął jedynie głową. Jeśli tego oczekuje od niego ojczyzna, to tak się właśnie stanie.

Lot pułkownika

*Papierowy księżyc z nieba spadł,
skończył się video film.*

Halina Frąckowiak, *Papierowy księżyc*

Polska Republika Demokratyczna, rok 1986

[...]



Na Ziemi, w Gołdapi, w sali głównej wrzało. Inżynierowie i kontrolerzy biegali między stanowiskami, ściskając w rękach pomięte kartki, wypełnione schematami i odręcznymi zapiskami.

— Wiktor, co się dzieje? — zapytała Gloria, opierając się ciężko na ramieniu męża. Zdawała sobie sprawę, że coś jest nie tak, ale nie była pewna, na ile poważny jest to problem.

— Nie rozłożył się lewy panel słoneczny — odparł stojący za jej plecami technik. — W zasadzie samo to nie byłoby problemem, bo w akumulatorach jest wystarczająco dużo mocy. Ale..

Zawiesił głos i zamilkł, jakby zniechęcony.

— Ale co? — Gloria odwróciła się i prawie chwyciła go za ramiona.

— Spokojnie — zmitygował ją Wiktor. — Problem w tym, że w takim położeniu panel zasłania czujniki położenia gwiazd i Słońca.

Kobieta zamilkła. Problem był dużo poważniejszy, niż na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać. Bez tych czujników niemożliwa była stabilizacja statku na orbicie. Bez orientacji w przestrzeni nie zadziałają systemy kontroli wysokości. Bez nich natomiast niemożliwe było przeprowadzanie jakichkolwiek manewrów.

— Ja Orzeł, ja Orzeł — rozległo się w głośnikach w kilkadziesiąt minut później, gdy Nowicki wszedł na powrót w zasięg polskich stacji naziemnych.

— Ja Warmia, odbiór! Melduj, co u ciebie!

Nowicki zdusił w ustach przekleństwo.

— Trochę buja — zażartował. — Jak wtedy na tym promie do Ystad.

— Nie wygłupiaj się, tylko melduj!

— Ja Orzeł, melduję, że lewy panel nadal się nie otworzył. Automat zawiódł, zawiódło ręczne sterowanie systemem.

— Ja Warmia, ja Warmia, czy masz jakiś pomysł, żeby uruchomić panel? — Zaskoczony Dobrowolski odsunął słuchawkę od ucha, gdy dobiegł go głuchy łomot.

Na wysokości 220 kilometrów nad powierzchnią Ziemi Jerzy Nowicki, przytrzymując się kurczowo fotela, z wściekłością tłukł ciężkim butem o ścianę pojazdu,

próbując z pomocą wywołanych w ten sposób wibracji zmusić zacięty system panelu słonecznego do rozłożenia się. Rozzłoszczony, uderzył pięścią w metalowe poszycie nad fotelem.

— Ja Orzeł — wywołał Gołdap, sadowiac się na powrót w fotelu i zatraskując pas. — Gówno.

— Ja Warmia, powtórz — dobiegł go zniekształcony głos Wiktora.

— Ja Orzeł, melduję, że zawiodły dostępne dla mnie sposoby — poprawił się szybko. Wykonał kilka głębokich oddechów. Spokojnie, to tylko awaria, pomyślał.

Na sali zapadła nerwowa cisza. Wiktor poczuł ciężką rękę na ramieniu. Spojrzał w górę i zobaczył stojącego za plecami dyrektora CKL. Odruchowo trzasnął przełącznikiem, wyłączając tor łączności ze statkiem.

— Jeżeli nie otworzy tego panelu, będziemy musieli go sprowadzić na dół. Z tym poziomem mocy, jaki pokazują systemy, nie mam mowy o żadnych manewrach orbitalnych, a na pewno o locie na Europę — powiedział niespokojnie dyrektor.

— Co na to Warszawa? — zapytała Gloria roztrzęsionym od emocji głosem.

— Jeszcze nie wiedzą — odparł dyrektor, odwracając głowę, aby uniknąć jej rozognionego wzroku.

— Czy wyście poszaleli! — Kosmonautka wyrzuciła ramiona w górę w geście najwyższego oburzenia. — Przecież tutaj jest mowa o ludzkim ży...

— Towarzyszko Dobrowolska, proszę się uspokoić! — dyrektor przerwał jej ostrym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. — Przypominam wam, że znajdujecie się w Centrum Kontroli Lotów, a nie na Polach Mokotowskich! Mamy tutaj kłopotliwą sytuację...

— Kłopotliwą, niech was wszystkich szlag! — rozzłościła się Gloria i ostentacyjnie, tupiąc botkami na niskim obcasie, wymaszerowała z sali i trzasnęła drzwiami.

— Towarzyszu Dobrowolski, mamy pewną koncepcję tutaj z kolegami. — Przy sąsiednim stanowisku ktoś nieśmiało podniósł rękę.

— Mówcie, mówcie, Płotka, wszystko na wagę złota. — Kosmonauta poderwał się z miejsca. Momentalnie podbiegła do niego młoda inżynier z pękiem kartek w dłoniach. Wiktor spojrzał, mruknął coś niechętnie pod nosem i znów trzasnął przełącznikiem fonii.

— Ja Warmia, ja Warmia, Orzeł, jak mnie słyszysz?

— Ja Orzeł, słyszę cię — dobiegł ich czysty komunikat bez zakłóceń. Pojazd wchodził właśnie w zasięg najlepszej komunikacji z CKL.

— Jak poziom paliwa w zbiornikach, Orzeł?

Na orbicie Nowicki obrócił głowę i spojrzał na zegary, pokrywające gęstą siatką boczny panel na prawo od fotela. Wszystkie wskaźniki stały na co najmniej osiemdziesięciu procentach. Wprawdzie na tym etapie lotów połowa z nich powinna być jeszcze nieruszona, ale utrata automatycznej kontroli nad statkiem spowodowała szybsze niż przewidywane zużycie paliwa.

— Ja Orzeł, stan w granicach dopuszczalnych — zameldował.

Spojrzał na wprost, na strzałki amperomierzy i woltomierzy, lekko kołyszące się, gdy statek podrygiwał — to co kilka minut samoistnie odpalały jedne z silników Systemu Kontroli Orientacji, który, pozbawiony części czujników, był teraz bardziej systemem dezorientacji. Nerozłożony panel sprawiał, że Orzeł stracił balans, konieczny w czasie lotu na orbicie.

— W porządku — w słuchawkach rozległ się głos Wiktora. — Mamy plan, jak opanować sytuację.

— Zamieniam się w słuch — w słowach Nowickiego zabrzmiała jedynie drobna nuta ironii.

— Spróbuj uruchomić silniki manewrowe w taki sposób, aby kapsuła zaczęła się obracać wokół własnej osi.

Nowicki zamyślił się na moment. Siła odśrodkowa, tak, to mogło zadziałać. Gdzieś w jego głowie zabrzmiał fragment wiersza o gniazdach sikor i o lisich ścieżkach. Cóż to było, zastanowił się. Jakaś niedawno wydana książka, którą czytał w minionym roku. Fantastyka o stacji orbitalnej na obcej planecie... Wywrotowe brednie, zastanawiał się nawet, jakim cudem ktoś dopuścił to do druku.

— Ja Orzeł, przyjąłem. Rozpoczynam manewr.

Ze spokojem ogarnął tablicę wzrokiem, zaczął za-mykać przełączniki, lekko pociągnął ku sobie wążkę ciągu głównego, a potem wbił na klawiaturze pokładowej Odry sekwencję komendy. „Orłem” lekko zakołysało i w następnej chwili Ziemia uciekła z iluminatora, zaś kosmonautę oślepił ostry blask Słońca.

Jerzy poczuł, że pasy przestają uciskać na piersi, za to pod plecami coraz wyraźniej zaznacza się piankowa wyściółka fotela. Wdusił jeszcze kilka przycisków. Pozorne ciężenie wywołane przez siłę odśrodkową rosło.

— Ja Warmia, ja Warmia — rozległo się w słuchawkach. — Mamy telemetrię ze statku, utrzymuj prędkość obrotu, zwróć uwagę na zużycie paliwa!

— Przyjąłem — mruknął kosmonauta, zerkając na zegary po prawej. W dwóch z nich strzałki powoli, lecz zauważalnie pełzły w lewo. Szybko przekroczyły pięćdziesiąt procent. Nowicki rozpiął sprzączkę pasów,

uchwycił się fotela i wymierzył potężnego kopniaka w lewą burtę, gdzie za cienką ścianką zastygł prosty, lecz uparty mechanizm panelu fotowoltaicznego.

— Kurwo ty, suko jedna — wycedził przez zaciśnięte zęby. Kopnął ponownie, aż siła jego własnego ciosu odrzuciła go od fotela.

— Orzeł, co tam się dzieje? Mamy jakieś dziwne dane — dobiegł zaniepokojony głos Dobrowolskiego.

— Nic takiego, ot, zmagania człowieka z materią — odparł Nowicki, na powrót zapinając pasy. Bolał go bark, stłuczony o prawą tablicę kontrolną. W ustach mu zaschło.

— Ja Warmia, ja Warmia, jak stan paliwa?

— Po czterdzieści w pomocniczych, po siedemdziesiąt pięć w głównych — zameldował.

— Ja Warmia, przerwij manewr. Przerwij manewr. Nie ma widocznych rezultatów.

— Przyjąłem — odparł Jerzy, zamykając ciąg główny, a potem korygując silnikami pomocniczymi położenie statku.

Automaty orientacji w przestrzeni szwankowały, więc Orzeł, mimo usilnych prób, nadal obracał się powoli wokół własnej osi, mknąc po orbicie z prędkością 1300 kilometrów na godzinę.

— Ja Orzeł, ja Orzeł — zameldował — orbita ustabilizowana.

W Centrum Kontroli Lotów kolejny raz tego dnia zapadła cisza.

— Przyjąłem — odparł Wiktor Dobrowolski. Obrócił się, a w ślad za jego spojrzeniem wszystkie oczy spoczęły na dyrektorze Niegłowiczu. Napięcie w sali można było kroić nożem.

Dyrektor drgnął nerwowo, przestąpił z nogi na nogę jak uczeń.

— W porządku. Lecę do Warszawy — powiedział wreszcie. — Do towarzyszy z Komitetu Centralnego, prosić o zgodę... — dodał ledwo słyszalnym szeptem.

Wiktor Dobrowolski rozłączył tor komunikacji i wstał również. Przeciągnął się, aż trzasnęły mu stawy, i w ślad za przełożonym wyszedł z sali operacyjnej. Ekran y za jego plecami błyskały srebrem, wyświetlając parametry orbity i systemów Orła. Część z nich pokazywała tylko biały szum lub wypłaszczone wykresy. Tylna antena telemetrii statku nie rozłożyła się, więc niektóre dane z pojazdu nie docierały na Ziemię.

Wiktor przeszedł przez krótki korytarz, stanął przy popielnicze. Chwilę szukał po kieszeniach papierosów, wreszcie wyciągnął zmiętego caro i zapalił, zaciągając się mocno dymem. Od razu się rozkaszał.

— Zabiją go, skurwysyny — szepnęła Gloria, siedząca na wielkiej donicy z jukką, ustawionej pod oknem. — My go zabijemy. Już go zabiliśmy. Doskonale wiedzieliśmy, że ten złom nie nadaje się do lotów załogowych!

Wiktor bez słowa zdusił w przepelnionej popielnicze na wpół wypalonego papierosa i otoczył żonę silnymi ramionami. Pogłaskał burzę ciemnych włosów. Wzdrygnęła się, wyslizgując się z jego objęć.

— Wszystko będzie dobrze, nie martw się. Takie rzeczy się zdarzają...

— Nie, Wiktor, nieprawda. To nie jest zwykła awaria — odparła nieprzekonana.

— Spokojnie, pamiętasz, jak Borys schodził z orbity balistycznym?

— Tak, o tak! — podniosła głos. — Wybił sobie sześć zębów i prawie zamarzył na śmierć na Uralu! Cud go tylko uratował!

— To nie cud, kochanie. Nie cud go uratował, tylko siła i męstwo człowieka.

— Co ty mi tu będziesz gadał o sile i męstwie! Że niby co, że Jerzyk skoczy z orbity na spadochronie i wyląduje siłą woli?!

Wiktor odsunął od siebie żonę i spojrzał jej w twarz. Delikatnie otarł łzy wysychające na pobladych z wściekłości policzkach.

— My go ściągniemy. Zobaczysz, zanim ten dzień się skończy, dostaniemy zgodę na lądowanie i ściągniemy go do domu. To tylko panel słoneczny, takie rzeczy się zdarzają.

Odwrociła głowę, zniechęcona, rozżalowana. I pełna żalu.

— Tak, jeżeli nic więcej się nie zepsuje. Przecież to jest latająca trumna, tam nic nie działa poprawnie! Wiktor, on wiedział, on...

— On wiedział i samodzielnie podjął tę decyzję, wiem — odparł Dobrowolski. — Każde z nas by tak postąpiło. Każde z nas podjęłoby się tego zadania, gdyby musiało. Gloria, ja też wiedziałem, wiem, wiesz... O wszystkim, o was. Każdy z nas — ty, Jurek, ja — my wszyscy podjęliśmy własne decyzje — wypalił nagle.

Gloria odepchnęła go.

— Po co mi to mówisz, głupcze? Nie! Jesteście wszyscy głupcami... Wy i te wasze cholerne ideały, podbój kosmosu, przekłęci bohaterowie mas pracujących, za późno urodzeni, żeby bronić kraju przed Niemcami, za późno, żeby wprowadzać proletariacką rewolucję, znaleźliście sobie nowe wyzwania! Chłopcy skaczący z drzewa do jeziora, zupełnie obojętni na to, że pod wodą sterczą pale zapadniętego pomostu. I nagle zdziwieni, przerażeni tym, że któryś skrzył kark! Nie pamiętasz, jak było z Nielubo-

wem? Grisza był taki sam jak wy, wariat, dobry komunista, pożyteczny idiota, co dla Partii i zdjęć z delegacjami z całego świata zaryzykuje wszystko!

Pociągnęła głośno nosem, otarła go rękawem.

— Co wy obaj chcecie teraz udowodnić? Po co ten idiota chce się dać zabić? Co to teraz może zmienić? Wszystko i tak wzięło w łeb. I ty, taki szlachetny, będziesz go teraz ratować?! Pełen zrozumienia i wybaczenia. Prawdziwy humanista...

Gloria odetchnęła.

— Zostaw mnie — powiedziała z nagłą nienawiścią. — Boże, jak ja tego wszystkiego nie znoszę, jak ja nienawidzę tego całego cholernego kosmosu, kosmonautów i tych waszych męskich gier o dominację — syknęła, ale tak dobitnie, że drzemiąca w drugim końcu korytarza starsza sprzątaczką wzdrygnęła się nerwowo i przebudziła.

Bez słowa odeszła, zniknęła za drzwiami sali dowodzenia Centrum Kontroli Lotów. Wiktor patrzył za odchodzącą żoną, nie mówiąc nic, bo nic już nie zostało do powiedzenia.



Na pokładzie Orła Jerzy wpatrywał się w zegary. Zasilanie stanęło na połowie skali i utrzymywało się. Prawy panel słoneczny, ustawiony teraz w kierunku Słońca, ładował akumulatory i kompensował ich zużycie w wystarczającym stopniu. Kosmonauta szybko przeliczył coś w pamięci. Europa powinna znajdować się w zasięgu. Trzasnął przełącznikami na panelu łączności.

— Ja Orzeł, ja Orzeł, wołam Europę. Odpowiedziały mu trzaski zakłóceń. Ponowił wywołanie kilkukrotnie, w odstępach parominutowych.

— Я Европа! Я Европа! — rozległo się nagle w słuchawkach. — Здравствуй, Орёл, как дела*??

— Rodion, Rodion, to ty? Tu Jurek Nowicki!

— Jerzyk, druhu! Kiedy do nas dokujesz? — zapytał Rosjanin bez wstępów. Orbitalni nie strzępili języków. W kosmosie niepotrzebne były zbędne słowa. Potrzebne było szybkie działanie i sprawne myślenie.

— Rodion, nie wiem, czy w ogóle. Mam tutaj pewne problemy techniczne.

— To nic, to nic, dasz radę, młody. Szandra czeka na ciebie z plackiem z folii. Nie możesz jej zawieść!

Jerzy roześmiał się w głos. Szandra Halmi. O tak, brązowe oczy, nastroszone czarne włosy, dzika i straszna jak węgierska puszcza. Pamiętał, jak dopadła go kiedyś w Gwiezdnym Miasteczku, kiedy pierwszy raz próbował wyleczyć się z Glorii, jak się potem okazało – nieskutecznie. Następnego ranka nie mógł zwlec się z łóżka, a zaprawy nie dał rady przebiec w całości. Dostało mu się wtedy po uszach. Ale było warto, oj, ależ było warto. Halmi, wcielona diablina.

— Przekaż jej, Rodion, że za nic nie chciałbym jej zawieść. Robię, co mogę — rzucił w eter.

Odpowiedziały mu trzaski.

— Ja Orzeł, powtórz! — wywołał.

— Czekamy na ciebie, Jerzyk! Dawaj, dawaj! — dobiegł go niktący w szumie zakłóceń głos Rosjanina.

Nowicki wywołał go jeszcze raz czy dwa, ale pasmo zanikło. Strzelił przełącznikami. Uniósł głowę i zerknął w iluminator, na przesuwaną się pod nim Ziemię. Dopiero mijał wschodnie wybrzeże Pacyfiku. A więc ma jeszcze trochę czasu do ponownej sesji łączności. Zamknął inny obwód i odezwał się do mikrofonu:

* Ja Europa! Ja Europa! Witaj Orzeł, jak się masz?

— Sierra Papa Five Juliette November. Sierra Papa Five Juliette November. CQ, CQ — rzucił w eter.

— *Alpha Alpha Six Kilo Mike* — rozległo się w słuchawkach. — *This is AA6KM, got you!*

— *This is SP5JN/am* — Nowicki przeszedł na angielski. — Nadaję z pokładu polskiego statku orbitalnego Orzeł, jak mnie słyszysz?

— Potwierdzam odbiór, potwierdzam odbiór, SP5JN. Tu klub krótkofalarski ze szkoły w Lower Hudson Valley. Co słyhać na orbicie?

— Pozdrawiam was, u mnie dobrze!

— SP5JN, pozdrawiamy polskiego kosmonautę! Przyjmij na nasze ręce pozdrowienia dla twojego bohaterского rodaka Dobrowolskiego! Czy się znacie?

Nowicki roześmiał się w głos.

— AA6KM, potwierdzam. Przekażę osobiście po powrocie na Ziemię! Potwierdzam, przekażę osobiście!

— Dziękujemy, Sierra Papa! Pozdrawiamy Polaka w kosmosie!

— Dziękuję wam, przyjaciele! Pozdrawiam wszystkich miłujących pokój ludzi na całej Ziemi! Pozdrówcie waszych astronautów od polskich kolegów!

— SP5JN, przyjąłem, SP5JN... — reszta zdania utonęła w trzaskach zakłóceń.

Jurek sięgnął do modulatora częstotliwości, ponowił wywołanie, ale bez skutku. Zerknął pod nogi, bo przez ten czas *Orzeł* obrócił się wokół własnej osi i Ziemia znalazła się teraz ponownie na umownym dole. Kontynent amerykański przesunął się pod jego stopami.

— SP5JN/am — wywołał ponownie. Zamknął tor i przeskoczył na inne częstotliwości. — Ja Orzeł, ja Orzeł, mówi Jerzy Nowicki z pokładu polskiej kapsuły kosmicznej — zawołał po angielsku. Potem powtórzył wywołanie po rosyjsku.

W słuchawkach zagrała seria pisków, dobiegły zniekształcone słowa w języku Puszkina. Jurek rozpoznał schemat modulacji sygnału. To jeden z Ałmazów: wojskowych baz orbitalnych znajdujących się na inklinacji równikowej, na południe od niego. Zawołał po rosyjsku, ale odpowiedź nie nadeszła. Wojennaja Razwiedka nie brała udziału w pogawędkach, a w każdym razie nie na otwartych kanałach.

— Ja Orzeł, ja Orzeł — zawołał ponownie.

— *This is United States space shuttle Challenger. Mission commander Dick Scobee speaking, roger**.

— *This is George Nowicki onboard Polish Eagle space capsule, Challenger, I receive*** — przeszedł na powrót na angielski.

— Witaj, George — odezwał się Scobee. — Jak dzisiaj na galaktycznych szlakach?

— Tłoczno — zażartował Polak. — Lecicie na Skylaba?

— Aye, aye.

— Pozdrawiam w takim razie. Mam w planach cumowanie na stacji Europa — rzucił. Potem sam skrzywił się na te słowa. Dokowanie do Europy z połową zasilania i mocno nadwątlonym zapasem paliwa? Ułańska fantazja!

* Tu wahadłowiec Stanów Zjednoczonych Challenger, mówi dowódca misji Dick Scobee, odbiór.

** Mówi Jerzy Nowicki na pokładzie polskiej kapsuły Orzeł, słyszę cię, Challenger.

— Astronaucci pozdrawiają kosmonautów! — głos Scobee'ego przebił się przez trzaski. Na pulpicie łączności błysnęła żarówka.

— Dick, muszę się zegnać, over and out — rzucił Nowicki, przełączając tor na tablicy.

— Ja Warmia, ja Warmia — dotarł do niego zniecierpliwiony głos Dobrowolskiego. — Zgłoś się, Orzeł, zgłoś się! Ja Warmia, ja Warmia!

— Ja Orzeł, przyjąłem!

— Nareszcie, do diabła, usnąłeś tam?

— Spokojnie — zmiłogował przyjaciela Nowicki. — Nigdzie się nie wybieram, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

— Nie wygłupiaj się, tylko melduj! — Wiktor zdenrowował się nie na żarty. Potem sam siebie zbeształ w myśli. Przecież dobry humor to jedyny sposób, żeby tam, w górze, nie oszaleć, nie zwariować, kiedy wszystko idzie nie tak.

— Melduj, jak zasilanie.

— Zasilanie na pięćdziesiąt. Prawy panel pracuje.

— Poziom natężenia?

— Słabo, Wiktoru, słabo. „Wszystko, czego dziś chcę, pamiętaj o tym, polecieć chcę tam i z powrotem” — zanucił.

W słuchawkach usłyszał soczystą „kurwę”, która wyrwała się z ust kolegi i niewybredny komentarz na temat jego gustu muzycznego.

— Ja Orzeł, ja Orzeł — podjął zaraz służbiście. — Ładowanie na poziomie piętnastu amperów. System le-dwo zipie, ale na razie jeszcze dajemy radę, i ja, i statek.

W słuchawce rozległy się trzaski, potem na kilka sekund zapadła cisza. Nowicki stropił się. Jeżeli przyjaciel odciął fonię, znaczyło to, że na dole padały słowa nieprzeznaczone dla jego uszu. Trudno, wrzucił ramio-

nami. Z odczytu pokładowych wskaźników i tak miał wystarczająco dobrą orientację w sytuacji. W zasadzie czekał już tylko na potwierdzenie, że anulują dokowanie do *Europy* i można wracać. Reszta nie miała aż takiego znaczenia. Panel, orientacja, zasilanie... Byle wystarczyło paliwa na zejście w atmosferę. A chociażby czekało go lądowanie balistyczne, to co? Wołynow pogubił zęby, za to od bab się teraz nie mógł opędzić. W końcu co bardziej zdobi żołnierza niż bojowe blizny?

— Ja Warmia, ja Warmia — rozległo się w słuchawkach — czy możesz ustabilizować Orła tak, aby ustawić się panelem na stałe do Słońca? Potrzebujesz więcej zasilania.

— Ja Orzeł. Niemożliwe. Statek niestabilny. Automatyczny system orientacji lotu nie reaguje.

— Przyjąłem — rozległy się trzaski. Potem w słuchawkach odezwał się inny, kobiecy głos.

— Ja Warmia, ja Warmia. Jerzyk, to ja. Jerzyk, jak ty się czujesz? — głos brzmiał metalicznie, zniekształcony, jakby dochodził ze stalowej beczki, ale Nowicki wyczuł w nim napięcie na granicy płaczu.

— Gwiazdna Gloria, pierwsza kosmiczna dama PRD! Uszanowanie, do stóp panienki!

Żachnęła się.

— Przepraszam — poprawił się szybko. — Uszanowanie wielkie, padam do stóp pani. Towarzyszko Dobrowolska, u mnie dobrze. Systemy poniżej poziomów optymalnych, a nawet nominalnych, ale jak już mówiłem koledze Wiktorowi, wszystko działa. Gra gitara. Szykuj kryształy na mój powrót — próbował pokryć zmieszanie sztubackim humorem, ale nie dał rady. Na chwilę przerwał. — Muszę ci jeszcze raz spojrzeć w oczy, więc na pewno wrócę.

— Jurek... Jurek, proszę cię, nie wyglupiaj się. Jurek, Dyrektor polecał do Warszawy, będzie rozmawiał z KC. Jurek, czekamy na ciebie tutaj na Ziemi. Jurek, ja ciągle... — przy ostatnim słowie głos jej się załamał. Usłyszał trzaski i szloch, a potem znów rozmowę przejął Wiktor.

— Ja Warmia, ja Warmia, Orzeł, przygotuj się do okresu bez łączności, czy przyjąłeś?

— Ja Orzeł, przyjąłem.

Zgodnie z planem lotu następne pięć orbit przebiegało po drugiej stronie Ziemi, na południowej półkuli. W tym czasie łączność bezpośrednia była niemożliwa, ze względu na zakrzywienie powierzchni planety. Orzeł będzie nadawał jedynie telemetrię, którą przekaże polska stacja polarna na Antarktydzie, a także na wodach międzynarodowych na Atlantyku statek badawczy „Kazimierz Nowak”, wyposażony w aparaturę pozwalającą na kontakt z pojazdami orbitalnymi.

Krok po kroku Nowicki z Dobrowolskim przeszli całą procedurę. Kosmonauta miał się w tym czasie zdrzemnąć. Centrum Kontroli Lotów planowało wykorzystać okres jego nieaktywności do podładowania systemów statku. Część urządzeń została wyłączona, obniżono emisję w ogniwie tlenowym, systemy klimatyzacji kabiny i skafandra zostały przykręcone do najniższego poziomu zapewniającego orbitalnemu żeglarzowi względny komfort. Zaczynała się najdłuższa planowana w tej misji przerwa w łączności, mająca potrwać prawie trzy orbity.

— Dobranoc, słodki księżę — szepnęła Gloria Dobrowolska, kiedy ich przyjaciel na orbicie wywołał się ostatni raz i potwierdził rozpoczęcie realizacji celów.

Na pokładzie Orła zapadła cisza. Przez kadłub pojazdu przechodziło co jakiś czas lekkie drżenie, gdy wy-

trącony z równowagi statek powoli obracał się wokół własnej osi. Nowicki zasłonił iluminator, odcinając dopływ światła do kabiny. W półmroku migotały lampki kontrolne, fosforyzowały wskazówki zegarów, mżyły lekko tarcze wskaźników. Poprawił się w fotelu, w którym utrzymywała go dodatkowo szczątkowa siła odśrodkowa, wyregulował pasy i odchylił głowę w hełmie kombinezonu. Zaczął szeptem liczyć, tak jak na treningach. Przy dziesięciu już spał.



